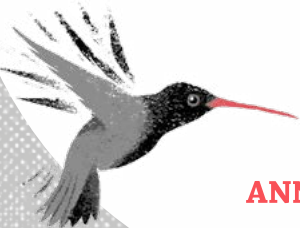


ANNA ONICHIMOWSKA

DUCH MACIEK *detektywem*



zilustrowała
ANNA WIELBUT



Anna Onichimowska
Duch Maciek detektywem

© by Anna Onichimowska
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka i ilustracje:
Anna Wielbut

Korekta:
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I

ISBN 978-83-7672-611-3

Wydawnictwo Literatura, Łódź 2019
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl
tel. (42) 630-23-81
www.wydawnictwo**literatura**.pl



Rozdział pierwszy,

w którym jestem gotów polecieć
z Karoliną na drugi koniec świata

Tydzień temu Karolina przestała się do mnie odzywać. Przestała też kłócić się ze sroką Wiesławą, straciła apetyt i chęć do latania. A zaczęło się całkiem niewinnie – od przeczytania czwartej strony nadjedzonej zębem czasu książki. Pierwszych kartek brakowało. Od kiedy pamiętam, opasły tom podtrzymywał stolik w kącie strychu, a teraz wszystko zjechało na podłogę i zrobił się bałagan. Karolina jednak nie przejmowała się tym nic a nic. Siedziała z nosem w książce od świtu do zmierzchu, nawet w nocy słyszałem – zamiast jej cichutkiego pochrapywania – szelest przewracanych kartek. Czasami śmiała się pod nosem albo coś mamrotała. Czułem się samotny i odtrącony.

I właśnie w chwili, kiedy postanowiłem przestać zwracać na nią uwagę, wykrzyknęła:

– Nie ma końca!

Wspólne szukanie urwanego w pół słowa rozdziału nie zakończyło się co prawda sukcesem, ale znów stałem się potrzebny – i to było najważniejsze!

– Możesz doczytać w bibliotece – poradziłem.

Potrząsnęła smutnie głową.

– Nie znam tytułu ani autora. Nie ma okładki.

– Wiem, wiem... – mruknąłem niechętnie.

Karolina przeciągnęła się i wyjrzała przez okno.

– Przestało padać! – ucieszyła się.

– Już pięć dni temu! – skrzeknęła Wiesława. – Wiedziałam, że to nie ma zakończenia. Dlatego wylądowało pod stołem.

– Powinnaś mnie uprzedzić! – zdenerwowała się Karolina.

– Nikt mnie nie pytał! – Wiesława roześmiała się paskudnie.

Awantura wisiała w powietrzu.

– Chodź... – Pociągnąłem za sobą duszkę. – Coś ci pokażę.

Wymyśliłem to na poczekaniu i kiedy przysiedliśmy na szczycie dachu obok komina, zacząłem się nerwowo rozglądać.

Rozejrzała się ciekawie.

– Tam, widzisz? – Wskazałem połyskującą w oddali rzekę. Dzieliła nasze miasteczko na dwie części: starszą i nowszą.

W nowszej stały domy-klocki, był tam również park, wesole miasteczko, stadion i centrum handlowe. W starszej – niewielkie kamienice, wąskie uliczki i małe sklepy pachnące tym, co się w nich sprzedaje.

– Mhm... – mruknęła niepewnie.

– O czym była ta książka? – Zmieniłem temat. Ożywiła się.

**– O tajemniczym zniknięciu
pewnej pani. Dużo osób jej szuka.
Są różne pogmatwane znaki i tropy.
I w końcu, kiedy już się wydaje,
że ona może się odnaleźć,
brakuje stron!**



– Pewnie myszy zjadły.

– Słuchaj – przerwała mi niecierpliwie. – Czytając ją, myślałam o mamie. Że jeśli ta historia dobrze się skończy, to mama też pewnego dnia się odnajdzie. A tu zakończenia nie było... – Westchnęła.

Wiedziałem, że mama Karoliny, Lucylla, krawcowa i projektantka mody, przeniosła się do Ameryki Północnej i po kilku mejlach kontakt z nią urwał się bezpowrotnie.

Podczas gdy zastanawiałem się, co odpowiedzieć i jak pocieszyć, wzbiła się w powietrze. Próbowałem ruszyć za nią, ale mój całun zahaczył o gwóźdź w kominie. Zanim opuściłem dach, była już tylko punkcikiem na różowym niebie.

Leciąła w stronę rzeki. Co zobaczyła? Nie miała w zwyczaju zostawiać mnie bez wyjaśnienia. Wrzuciłem piąty bieg, chcąc zmniejszyć odległość między nami, ale bezskutecznie. Zniknęła.



Leciałem tak nisko, jak to możliwe. Widziałem gniazdo kaczek i kilku rybaków, dziurawą łódź przy równie dziurawym pomoście, śmieci, czarnego kota, porzucony rower, chłopaków skaczących z pochyłego drzewa do wody, małą łachę piasku, a na niej dziewczynę, czytającą książkę. Karoliny nie było. Przynajmniej nad rzeką. Na tym odcinku, który

przejrzałem, po obu jej stronach. Zdecydowałem się na lądowanie.

– Karolina!!! – darłem się, brnąc z trudem ścieżką między szuwarami.

– Ciszej! – zdenerwował się wędkarz w czerwonej czapce. – Płoszysz mi ryby!

– Nie widział pan może kogoś w różowej sukience? – zagadnąłem.

– Nikogo nie widziałem – burknął. – Ani w sukience, ani bez. A ty, co właściwie masz na sobie? Jest jakiś bal przebierańców, czy co?

Splawik nagle podskoczył, odwracając uwagę gburą w stronę tego, co działo się na rzece. Mężczyzna ścisnął mocniej wędkę. Mocował się z nią bezskutecznie, wciągany do wody tajemniczą siłą.

– Ale sztuka...! – sapał.

Stałem obok, ciekaw, czy wpadnie do rzeki.

– Pomóż! – wrzasnął.

Ciągnęliśmy we dwóch ile sił. A chwilę potem leżeliśmy przygnieceni czymś, co zupełnie nie przypominało ryby.



– Idź stąd, przynosisz mi pecha! – Mężczyzna gramolił się niezdarnie spod wielkiego kalosza, pełnego szlamu i kamieni. Szamotała się wśród nich mała rybka, którą zdążyłem wrzucić do wody, zanim wylądowała w wiadrze.

Skoro nad rzeką nie ma Karoliny, muszę jej szukać gdzie indziej! Może już wróciła na strych, a ja niepotrzebnie moczę sobie trampki? Lecę do domu – postanowiłem w chwili, gdy wyszła dokładnie naprzeciwko mnie. Ścisnęła pod pachą gazetę. Tak zamyślona, że nawet mnie nie zauważyła.

– Cześć... – Nieśmiało zwróciłem na siebie uwagę.

– Maciek? – Wydawała się wyrwana z głębokiego snu.

– Co się stało? – Wziąłem ją za rękę.

Była czymś głęboko poruszona. Zaniepokojona. Mięła rąbek koronki jak zawsze wtedy, kiedy nie wie, co powiedzieć i jak się zachować.

– Coś bardzo dziwnego. – Wzruszyła ramionami. – Wydawało mi się... – Przerwała, próbując się uśmiechnąć.

– No, mów! – zacząłem się niecierpliwić.

– Wydawało mi się, że widzę mamę. – Odwróciła ode mnie głowę.

Sam swoich krewnych odwiedzałem rzadko, ruiny zamku, które zamieszkiwali od paru setek lat, były jak dla mnie za mało przytulne. No ale wiedziałem, gdzie ich szukać, gdybym nagle do kogoś zatęsknił: mamy Porcji, taty Oktawiusza czy też braciszków: Sykstusa czy Kalasantego.

– Latała tutaj. – Karolina wcelowała palcem w kępę wierzb, pochylonych nad wodą. – Miała kapelusz. I suknię w kwiaty. Zawsze lubiła się stroić...

Masz to po niej – pomyślałem. Karolina uwielbiała koronkowe sukienki i tenisówki. Miała ich chyba z piętnaście par. Zdobiły jedną z belek na moim strychu, ustawione równiutko, para przy parze.

– Może to był jakiś duży ptak... – Nie chciałem, żeby Karolina uwierzyła w coś tak mało prawdopodobnego.

– Ptak. W słomkowym kapeluszu! – prychnęła z politowaniem.

– Na przykład Wiesława... – zacząłem, ale przerwała mi stanowczo:

– To nie była ani sroka, ani wrona, ani bocian, ani kanarek! To była duszka podobna do mamy... Zanim tu doleciałam, zniknęła. Ale nie bez śladu. – Podła mi gazetę z zakreślonym flamastrem podpisem po angielsku: „Na gali wręczenia Oskarów najbardziej elegancką gwiazdą była Daniela Danieli w kreacji od Lucylli” – przeczytałem, gapiąc się jednocześnie na zdjęcie.

Spojrzałem pytająco na Karolinę.

– Od Lucylli, mojej mamy! To jest znak! To ona zostawiła mi tę gazetę... Zauważ, że jest sprzed roku. Skąd by się tu wzięło stare amerykańskie pismo? Mama chce mnie o czymś powiadomić. Chce, żebym zaczęła jej szukać. Może jest w niebezpieczeństwie. Na pewno! Maciek, polecisz ze mną, prawda? Powiedz, że polecisz!

– Pewnie że tak, ale dokąd? – wybąkałem oszołomiony.
– Do Ameryki! – wykrzyknęła niecierpliwie. – Chodź
– wyciągnęła do mnie rękę – nie mamy czasu!

Uważałem wówczas, że coś sobie ubzdurzyła. Nie wierzyłem w znaki. Jak na ducha, byłem osobnikiem twardo stającym po ziemi. Ale nie chciałem robić jej przykrości i odzierać ze złudzeń. Niech sobie żyje marzeniami – postanowiłem. Mogę się przewietrzyć i zobaczyć kawałek świata, niezależnie od całego tego zamieszania z Lucyllą.

Obciągnąłem całun i potrząsnąłem głową.

– Musimy najpierw pożegnać się ze wszystkimi. Tak się nie robi. Nie znika się bez śladu... jak jakiś duch.

Puściłem do niej oczko, ale nawet się nie uśmiechnęła. Po mojej beztroskiej Karolinie nie było śladu. Nigdy dotąd nie widziałem jej tak zaniepokojonej.



Sroka Wiesława siedziała naburmuszona w kącie, a obok niej piętrzył się kłęb różnokolorowej włóczki. Mam nadzieję, że nie zamierza zrobić mi nowego kubraczka – pomyślałem z niepokojem, zmierzając w stronę starej walizki. Nie wiadomo, do kogo kiedyś należała. Stała na strychu, od kiedy pamiętam, pokryta coraz grubszą poduszką kurzu. Teraz poduszka uniosła się w powietrze, rozpadając na tysiące mikroskopijnych drobinek.



– A psik!
A psik!

– kichnęła sroka, a ja zakryłem spiesznie całunem nos i usta. – Po co to ruszasz?!

– Musimy się spakować... – Mój wzrok powędrował w stronę licznych tenisówek Karoliny.

Byłem pewien, że bez nich się nie ruszy. Ja sam brałem w podróż zwykle jedynie szczoteczkę do zębów, całun na zmianę, kulkę na łańcuchu, garść cukierków i butelkę naparu z psich grzybków.

Zamki walizki odskoczyły niechętnie, a ona sama rozpadła się na dwie części, ujawniając swoją zawartość: garnitur w prążki i trzy białe koszule, mundur majora lotnictwa plus stosowne buty, frak, parę męskich lakierków, kilka krawatów, bieliznę, sprężyny do ćwiczeń, sprzęt do nurkowania, butelkę wody kolońskiej, pędzel do golenia i mydelniczkę z mydłem.

Wiesława przysiadła obok. Przerzucała dziobem poszczególne sztuki.

– Wszystko męskie! – Kichnęła raz jeszcze. – Gdzie wyjeżdżacie? – Łypnęła na mnie z ciekawością.

– Do Ameryki – przyznała Karolina, wlatując na strych.

– Po co do Ameryki? – Wiesława zainteresowała się mundurem lotniczym, dziobiąc metalowe guziki. – Trzeba je wyczyścić – stwierdziła.

– Nie trzeba – zaprotestowałem. – Nikt go przecież nie będzie nosił.

– Moim zdaniem byłoby ci w nim bardzo ładnie – usłyszałem, po czym Wiesława wprawnym ruchem odpruła spory kawał nogawki. – Trzeba tylko skrócić spodnie i rękawy... – Uwijała się, nie patrząc w naszą stronę. – Po co tam lećcie? – powtórzyła pytanie.

– Odwiedzić moją mamę.

Powiedziała „odwiedzić”, a nie „odnaleźć”, zauważyłem, cofając się gwałtownie przed sroką, która przykładała do mnie mundur.

– Chyba nie sądzisz, że to założę?! – krzyknąłem w panice.



– W Ameryce wszystko może się zdarzyć. Masz gotowy zestaw ubrań na każdą okazję. Daj mi chwilę, a dopasuję je do ciebie. Właściciel walizki był od ciebie, hmmm... większy...

Nie musi mi wypominać wzrostu – pomyślałem ze smutkiem. – To nie moja wina, że jestem taki mały. Dobrze, że ona także nie urosła – spojrzałem z czułością na Karolinę, która była tylko troszkę wyższa ode mnie.

Duszka bujała myślami gdzieś daleko. Zdejmowała z belki z nieobecnym wyrazem twarzy a to różową tenisówkę, a to niebieską. Tymczasem Wiesława szykowała mnie do drogi.

– Przymierz! – rozkazała, rzucając frakiem.

– Karolina, powiedz jej, żeby przestała się wygłupiać! – wybuchnąłem.

Byłem pewien, że mnie poprze, tymczasem duszka uśmiechnęła się tylko i wzruszyła ramionami.

– Wiesława ma rację. Nie wiadomo, co nam się przyda. Czasem może będziesz musiał kogoś udawać. Ta walizka wyraźnie na ciebie czekała, ze wszystkim, co jest w środku. Jak się te ubrania pozmniesz, uda mi się wcisnąć trochę moich rzeczy.

Nie wierzyłem własnym uszom. Ja – we fraku i w laskach za dużych o kilka numerów?!